№ 52.

WARSZAWA DNIA $\frac{17}{29}$ GRUDNIA R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

W roku przyszłym 1867 Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. W części literackiéj pójdą w dalszym ciągu Pamiętniki Jana Bugaja, artykuły naukowe, Korrespondencja z Paryża, Podróże, Kronika artystyczna, Pogadanki, poezje i t. p.

W dodatku zaś po ukończeniu rozpoczętéj powieści *Dziedziczka Jodłowca,* pomieściemy tłumaczoną z francuzkiego p. t. *Daniel Roch* przez Erkmana Chatrian'a potem oryginalną p. t. *Macocha.* Nowi prenumeratorowie za zgłoszeniem się, otrzymają dodatki z drukującéj się powieści: Dziedziczka Jodłowca.

Ponieważ nieregularne odbieranie całych numerów lub niektórych dodatków, zupełnie nie z winy Redakcji pochodzi, w podobnym więc wypadku, prosiemy o zgłaszanie się do właściwych stacji pocztowych albo listami niefrankowanemi i niezapieczętowanemi do Ekspedycji Gazet w Warszawie, lub wreszcie do Redakcji, a kwestja z pewnością zostanie załatwioną.

J. K. GREGOROWICZ

REDAKTOR I WYDAWCA.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

IV.

KUBUŚ LANCKOROŃSKI.

Kiedyśmy się wysworowali ku gościńcowi Sandomierskiemu, jakem spojrzał po za siebie, to cała kompanja pogrzebowa wiła się od Rożek niby wąż barwisty po trawie, albo pas kiedy z żywota opadnie i jednym końcem wlecze się po ziemi. Naprzód na wozie wysoko uszykowanym pokrytym czarnem suknem, mieściła się trumna z wiankiem z myrtu i nieśmiertelników uwitym, na ten znak że nieboszczyk kawalerstwa nie opuścił aż do śmierci. Ciągnęły go cztery rumaki ustrojone w pióropusze rycerskie i w kokardy ze wstążek, z których widać i dumniły się i radowały, bo parskając wyrzucały łbami jak na dziwowisko.

Przed ciałem postępowali dwoma szeregami Zakonnicy, od czasu do czasu zawodząc nabożne pieśni a za trumną szli krewniacy i sąsiedzi, wszyscy ze świecami zapalonemi w rękach rozdzielonemi przez Bractwo z Obrazowa. Za nami dopiero jechały sznurem kolebki pańskie, bryczki, kałamaszki i wozy włościańskie w półkoszkach, a w nich siedziały białogłowy, otulone w futerka, bo w trzewiczkach na korkach iść po śniegu byłoby z utrudzeniem.

W kościele z wielką wystawnością trumnę ustawiono na wysokim katafalku, w pośród mnóstwa świec, kwiatów i różnego przystroju, była także mowa której wysłuchaliśmy z wielką pilnością,

Dziś gdy rozważam w pamięci dzieje lat młodych, żałuję com jéj nie przepisał, bo wszystkim bardzo się podobała, a Ojca Józefa od księży Reformatów ogłoszono za pierwszego mówcę. Pamiętam tylko, że kiedy kapłan stanął na ambonie przysłonił oczy i nachylił głowy ku krawędzi. Po chwili zadumy spojrzał po zgromadzeniu i wpatrując się w katafalk zawołał wielkim głosem:

— I cóż to ja widzę za illuminacje? — Czyżby to była jaka wystawność dla uciechy lub zabawy? Nie!— to nie illuminacje, ani żadna światowość, ale ciało zmarłego ś. p. jaśnie wielmożnego Marcina Lanckorońskiego dziedzica dóbr Rożek, Głazowa, Święcicy co jako proch pomięsza się z prochem, jako ziemia pójdzie do ziemi, a tylko duch nieśmiertelny wzniesie się ku niebiosom i służyć będzie na wieki Przedwiecznemu Bogu".

Przy tych słowach mówca chwilę przystanął, potem wyciągnął ręce i mówił dalej: — Duszo z więzów cielesnych uwolniona, posłuchaj niegodnego sługi Pańskiego, i idź wszędzie gdzie pragniesz tylko nie do ojców Jezuitów (1). Z usidlenia od nich wyprowadzi cię moc Boża, za przyczynieniem się Twojem Najświętsza Panno, którą pozdrówmy mówiąc Zdrowaś Maryja. Westchnienia, szept, modlitwy, nawet płacz tłumiony ozwał się w kościele, a kapłan po chwili mówił dalej przyciszonym głosem:

— Idź teraz duszo w spokoju do bram niebieskiego szczęścia, a ja wygłoszę cnoty twego żywota, kiedyś w człeczéj postaci bawiła z nami. Kiedym odmawiał Zdrowaś wedle nakazu kapłańskiego, kapitan wodził oczami po ścianach i po górze, że aż zdziwiłem się; wnet jednak przypomniałem sobie jego zagniewanie i przycichłem. Ale nie tylko ja chwyciłem to oczami, uważali inni a szczególniéj krewieństwo i w wielkie popadli zmartwienie, bo jak poszło od ust do ust, tak przyczyna żalu kapitana wyszła na wierzch jak oliwa. Jeden szczególniéj imiennik nieboszczyka i przy nim od dziecka hodowany do dozoru i gospodarstwa ubożiuchny i niepokaźny ale poczciwości i potulności wielkiéj jak się to potem dowodnie pokazało, szczególniéj zafrasował się tą przypadłością. W zapisie nieboszczyk nie pominął go co prawda, ale była to tylko malutka kromka z dużego bochenka chleba, jak po wódce na zakąskę, a wart był człeczysko nie takiego traktamentu. Inni krewniacy, bogatsi, większe oberwali podarki, żaden jednak tak się kapitanem nie zafrasował jak on. Byli to po części filozofkowie, co jak mierniki ziemię, tak oni chcieli pomierzyć niebiosa i wytknąć palcem gdzie mieszka Pan Bóg, a gdzie Bogarodzica, gdzie Aniołowie a gdzie Święci i Błogosławieni, gdzie idą dusze z odpuszczeniem a gdzie z potępieniem. Genewczyki to Genewczyki, z oczów patrzyło im nie nabożność ani różaniec.

Ubożuchny ów krewniak jak tylko ukończyły się nabożne obrzędy i gaszeniem świateł wyprawiono nas z kościoła, pogonił zaraz za kapitanem ale go nigdzie nie mógł nadybać tego wieczoru. Dalsza bowiem część obywatelstwa pozostała na noc w mieście, pomieściła się w mieszczańskich domostwach, kapitan więc w nawiedzinach obchodził to tego to owego i zawsze jakoś mijał się z poszukującym go krewniakiem. Nazywał się on Jakób Lanckoroński ale go wszyscy mianowali Kubusiem, bo go tak zwał nieboszczyk i we wszystkich domowych sprawach odsyłał do Kubusia. Poczciwiec téj ufności bogatego

---

(1) Niechęć do Jezuitów w owym czasie była bardzo upowszechnioną. W broszurach i rękopismach tamtoczesnych, zawierających mowy pogrzebowe z przymówką do tego Zakonu często spotkać się można.

Przypis Redakcji.

krewniaka nigdy nie wyzyskał dla siebie, ale zawsze dla biedoty lub potrzebujących jakiego ratunku. Gdyby nie on, nieboszczyk możeby bardzo ugrązł w bagnie skąpstwa i chciwości, jak to zwykle bywa z ludźmi spalonemi na węgiel w zastarzałem kawalerstwie, ale Kubuś bronił go od tego, często nawet powadził się z panem Marcinem, a częściej jeszcze potajemnie lichocie wiejskiéj ulżył i poratował, a krzywdy żadnéj nie dopuścił. Szanowano go też okolicznie, a nawet pan Marcin choć przez zauszników miał sobie doniesione zawsze, każde Kubusia przewinienie się jego rozkazom, to puszczał to mimo uszów i tylko machnął ręką, skrzywił się jak po occie ale nic nie rzeknął. Kiedy zaś spotkali się z sobą po takiem przeciwieniu się to pan Marcin ani w wymówki; ani w przymówki się, nie wdawał ale zrzędził, marudził i wszystko było mu z przeciwnością. Kubuś słuchał, przekładał ale jak zmiarkował z czego takie tetryctwo pochodzi, tak z obrony przechodził w napad i bajże po Marcinie.

— Już ja widzę co się święci — rzekł raz w takim napadzie marudztwa — „stryj dobrodziéj inne ma pomyślenie, a inne mówienie. Nie idzie tu o szyk i ład w gospodarstwie, co jegomość z przymówiska jedzie na mnie w przymówisko, ale o te kilka korczyków zboża, com niemi Marcinów na siew poratował. Co prawda ratunkiem tym sprzeciwiałem się rozkazaniu stryja, ale Marcinowie to biedota, grad co poszedł od Jankowieckiéj granicy, chwycił brzegiem nasze pola, ale Marcinów ozziminę wybił z kretesem. To jakże, mieli się wyprzedawać z dobytku, albo pójść z proszeniem do pana Trzebieńskiego w Bilczy o ratunek; kiedy mają swego bogatego dziedzica?

— Bogatego, bogatego—mruknął na to pan Marcin — a mierzyłeś acpan moje bogactwo? Przy acpana szafunku, to przyjdzie mi może z torbami pójść po świecie?

— Nie bluźnij jegomość, nie bluźnij — odrzekł Kubuś — toć wsi kilka przetakiem ich nie przesieje. Łany wszystko pszenne za życia wystarczą, a po śmierci to trzeba tylko trzech łokciowego dołu na długość, a dwa na szerokość, a i tak będziesz się jegomość w przestronności mógł przewracać jak na piernacie w łożnicy.

Przypomnienie śmierci było dla pana Marcina najzjadliwszą rzeczą i wtedy zwykle wpadał w zapalczywość. Gniewny więc odrzekł trzęsącym głosem:

— Co mi acpan za duba pleciesz. — Śmierci, śmierci! toć ja wiem że się nikt od niéj nie wywierci, a nie wiadomo kto z brzegu. Acpan tu jesteś nie do mentorstwa, tylko do dozoru, a kaznodziejstwo należy do mniszéj sutanny a nie do ekonomskiéj kapoty, Widzicie jaki mi śmiałek!

I jeszcze więcéj w tym sensie pan Marcin wywodził, wszystko z przygryzkami do zależności Kubusia, ściskając pięście i iskrząc oczami, tak że zdawało się iż weźmie kija i wyżenie krewniaka z domu na zawsze z przed swoich oczu. Kubuś jednak choć milczał, wszystko to mało sobie ważył, nie rozjendyczył się ani zniecierpliwił, tylko wysłuchał łajania, stukania pięściami po stołach, targania kontusza a nawet czupryny, i jak burza zaczęła cichnąć że mógł głos podnieść, wtedy spokojnie rzekł:

— Pochlebność stryjowi lepiéjby przypadała do smaku, ale pochlebne głosy to jak groch w pęcherzu, co brząkają a pożytku nie dają.

— A czyś acpan zabaczył, że każde mienie czy bogactwo jak rzekłeś to jak rzepa przy drodze, co każdemu oczy bodzie? Bodzie ono wszystkich, a i acpanu także dokucza.....

— Dokucza ale z przychylności o pożytek dla jegomości stryja dobr.....

To złączenie trzech tytułów, jegomości, stryja i dobrodzieja, było oznaką że się Kubuś naprawdę rozgniewał, a że choć w biedocie dumności miał wiele i z podrażnienia mógłby milczkiem porzucić pana Marcina, czego ten bał się jak ognia, bo wiedział że potem nie przyciągnąłby go do siebie nawet stu parami wołów, więc przystanął w chodzeniu i zwracając się do Kubusia zapytał zupełnie zmienioną mową nie tak jak przedtem gniewną i krzykliwą.

— A jakiż to pożytek acpan mój Kubusiu obmyśliłeś dla mnie z tych trzech korcy zboża coś niemi zapomógł Marcinów?

— Pożytek wielki mój stryju — odrzekł krewniak płacąc stryjem za Kubusia — ale nie dla ciała co jest marnością, ale dla duszy co jest wiecznością i przy tych słowach zbliżył się do p. Marcina i mówił jakby w tajemnicy. Przecieć Marcin to imiennik jegomości; do swego patrona daje na paciorki w różnych okazjach, to myśląc o jegomościnéj pomocy, choć nie z umysłu, do swojéj intencji przylepi i wspominkę o stryju, jako o swym dobrodzieju, ot i pomoc wyjednana taką marną rzeczą, a do tego u swego św. Patrona. To wiele mój jegomość znaczy...

— Nabożeństwo jest większéj ważności jak paciorki dziadowskie za groszak kupione — odrzekł pan Marcin — a za trzy korce zboża to można było trzy wotywy ze śpiewaniem i z graniem zakupić.

Kubuś przygryzł wąsów i mówił daléj, ale już trochę niecierpliwie.

— Marcinowéj kobiecie, to Barbara na imie, a ś. p. matce jegomości także z bierzmowania była Barbara. Toć święta Patronka ś. p. matki, także coś z pomocy dla jegomości przyczyni.

— Ho — ho — ho! — przerwał pan Marcin kręcąc palcem w powietrzu — od Baśki Marcinowéj do mojéj rodzicielki, potem do św. Barbary przez nią do św. Marcina i do mnie, to strasznie droga daleka. Szkoda więc trzech korczyków, szkoda.

— To kiedy szkoda — przerwał z oburzeniem Kubuś — kiedy jegomość dobrodziéj nic nie ważysz takie wstawiennictwa do świętych patronów, to z ordynarji kwartalnéj potrącę te trzy korczyki i będzie kwita, jegomość zostaniesz przy ziarnie, a ja przy modlitwach.

I wyrzekłszy to szparko ruszył ku drzwiom, ale go pan Marcin w samym progu przycapił za kapotę i pociągając ku środkowi izby, rzekł już z zupełną dobrocią:

— Jaki ty Kubusiu ukrop! — Słowa rzeknąć nie można żebyś nie skoczył jak oparzony. Czy to ja jaki Turek, czy Tatar, czy pogauin? I ja bym rad zapewnić sobie zbawienie duszy, ale radbym także, kiedy się to bez ofiary nie obejdzie, aby ofiara jak największy profit przyniosła. A tu przekonanie moje jest inne jak twoje.

— Ale ja zaręczam że przekonanie moje jest dobre, bo wspomożenie biednego a poczciwego, to modlitwa jakiéj pierwszéj nie ma. Chóry aniołów przemieniają ją w śpiewanie, jakiem bez ustanku chwalą Przedwiecznego Pana.

— No! Kiedy tak mówisz do rozumu, to łacno wszystko pojąć. A kiedyż Marcin odda zapomogę?

— Za rok dopiero, za rok z nowego, bo teraz byłoby mu ciężko.

— Za rok — hm! — mruknął pan Marcin i zwracając się do Kubusia rzekł:

— To już tam tego nie odbierajcie mój Kubusiu; ma być pomoc, niechże będzie cała nie w połowiznie. Apart tego każ im wydać korczyk celnéj pszenicy na kluski, a na chleb korczyk żyta, boć pewno z dojadkiem mają wiela turbacji. Tylko nie praw im że to odemnie, bo by przyśli z dziękowaniem.

— A od kogoż mam rzeknąć?

— Że dajesz ze swojéj myśli a w tajemniczości przedemną.

— Nie mój stryju kochany, to byłoby zmyślenie. Ja wszystko robię w jawności, wszystko z rozkazania stryja, nawet i w takiéj okazji, kiedy stryj broni. To wszystko stryjowskie nie moje, niechże i zasługa z daru idzie na stryja.

— Mój ty poczciwy Kubusiu — odezwał się na to pan Marcin obejmując mu głowę i całując ją — jaki ty dbały o moją wieczność i sławę na ziemi. Czemże ci się odpłacę za tyla pociechy.

— To furda mój stryju — przerwał Kubuś — szkoda psować gębę takiemi sprawami. Ale czy to należało mój stryju z taką zawziętością rzucać na mnie słowa gniewliwe? — Ekonomską mam tylko na grzbiecie kapotę, nie sajety ani szkarłaty, ale uczciwie zapracowaną.

— Tak mój Kubusiu — przerwał pan Marcin — tak — tak — święta prawda.

— Jestem ekonom co prawda, ale czysty szlachcic, mówił daléj Kubuś — choć w ubocznéj linji, ale bliski krewniak jegomości, a ubóstwo nie plami mego szlacheckiego herbu...

— No sza! Kubusiu ani słowa więcéj, bo i ja mógłbym ci przymówić, żeś pyszałek, bo w każdéj alteracji zaraz ci peregrinacja przychodzi do głowy...

— To prawda..

— No — dosyć, dosyć mój Kubusiu obaśmy zmięgdy, ale ja większy — przerwał p. Marcin a dodał zaraz Kubuś:

— Nie stryju ja większy...

— Bajda jesteś, ja znam siebie i wiem com większy....

— Ale ja stryju młodszy, to powinienem ustąpić.

— A ja starszy to powinienem być mędrszy od ciebie...

— To się rozumu nie tyka...

- No — no — czy tyka czy nie tyka, to ja to lepiéj znam, a to weź i zanieś dziatkom swoim na koszulki i trzewiczki.

I przy tych słowach wcisnął dwa obrączkowe dukaty w rękę Kubusia, a sam umknął co prędzéj do drugiéj izby, żeby się zasłonić od podziękowania. Tak się zwykle kończyły wszystkie sprzeczki między niemi, rzadko one zachodziły, raz dwa razy do roku najwyżéj, bo i na pana Marcina, brzydkie skąpstwo tyleż razy spadało jak jakie choróbsko. Kubuś był jego medykiem i zawsze ze skutkiem.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

Dni kilka temu idąc mostem na Prage, utonąłem w myślach niezmiernie filozoficznych. Rozbierałem kwestją nadzwyczaj ważną, coby to się stało, gdyby Wisła nagle zmieniła kierunek i zacząwszy płynąć od Gdańska ku Karpatom, wszystko poprzekręcała na opak. Gdy nagle jak zgrzyt zębów, ozwało się tuż przy mnie wrzaskliwe łajanie.

— Gdzie jedziesz gdzie? — ty! — baranie, niedźwiedziu! — Wszystkich tytułów i nadzwyczajnych dodatków jakie zakończyły to rubaszne łajanie powtarzyć niepodobna. Powyciągane z tąd i owąd od ciemnej gwiazdy, i od miliona bomb i szatanów sypały się gradem, szybko wprawnie i płynnie jak trajkotka albo wóz lecący z góry na oślep. Spojrzałem: — łającym był parobek rzeźniczy z harapnikiem w ręku, pędzący wieprze z targu, ubrany jak ostatni łachmaniarz w strzępach, dziurach, szołdrach, z twarzą opuchniętą, rozczochranemi włosami, brudny, wstrętny i odpychający, nie wart nawet szeląga, gdyby przypadkiem wystawiony został na licytacją. Łajanym

był włościanin jadący jednokonnym własnym wozem, ubrany dostatnio i przyzwoicie który naciskany z tyłu wjechał między wieprze i rozdzielił je na dwie gromady. To właśnie stało się powodem gniewu łachmaniarza, a gdy włościanin usprawiedliwiał się z dziwną wstrzemięźliwością, parobek w odpowiedzi wystylizował jeszcze kilka słownych dodatków, okazując największą wzgardę i zarazem wyższość swoją nad pracownikiem przy pługu i sierpie.

— Pomyślałem sobie niech go Bóg kocha.

— Na bok wieprzarzu — wrzasnął dorożkarz także z pewną wyższością. Dorożkarza potem ofuknął nadjeżdżający stangret powozem: stangreta lokaj w liberji lokaja i t. d. a zawsze z tą dumą uważającą siebie za coś lepszego, zacniejszego, poniżającego drugiego z kretesem, jakby istotę poziomszą, lichszą, zaledwie godną spojrzenia.

W bramie jednego domu, stróż z pańską miną turbował śmieciarkę odgryzającą się małemu szewczykowi, jako dama godna czołobitności.

— Poszedł won! — ty ciągni-skóro chodaku. Ja nie z takiéj jak ty pochodzę familji, — mówiła kobieta wytrząsając koszykiem pełnym szmat i zebranych kości, a grożąc kijem zakończonym haczykiem— moi rodzice mieli dom na Pradze, a twoi co? — widły i brony. Poszedł won!

— No — no tylko krzyków nie robić — zawołał stróż podnosząc miotłę w górę— ruszać sobie z Panem Bogiem. Zobaczywszy jednak że to nie zrobiło pożądanego wrażenia, zabrał się do dobitniejszych argumentów i biedne babsko wyparował na ulicę.

— A ty taki, a ty owaki—wrzeszczała kobieta — ty na mnie będziesz podnosił rękę? Znać twoje pochodzenie, po krakaniu zaraz poznać wronę.

— Ja nie wrona — mówił stróż bijąc się w piersi ja nie wrona, ale szlachcic od dziada pradziada, nie wytykaj mi więc mego pochodzenia, wrońsłwo schowaj dla siebie, bo ja kośćmi nie handluję...

— Tylko je ogryzasz — przerwała kobieta i wytrząsając haczykiem ruszyła w ulicę.

— I czegóż się śmiejecie Stanisławie? — zapytał stróż drugiego kolegi, stojącego z opartą miotłą przy świeżo zgarniętéj kupie błota — pilnujcie lepiéj swojéj roboty, bo idziecie z prostego narodu, to nie wiecie co familja znaczy.

— A wy to Józefie właśnie z państwa wychodzicie? — Widzicie jaki honorowy człowiek, może ci trzeba będzie wielmożnować?

— Tylko tykanie schować dla takich jakeś sam— odrzekł Józef — ja nie w kurnéj rodził się chałupie, ale w szlachectwie, we własnéj ojcowiznie...

— Nie szerokiéj ale głębokiéj — przerwał Stanisław — bogacz! myślałby kto że jakie z niego dziwo, a tak samo jak ja drapie miotłą po bruku.

— Zamknij gębę — wrzasnął Józef — bo jak cię zdzielę miotłą ty wyciruchu warszawski.

— A ty worze parciany — wrzasnął Stanisław i oba stanęli na przeciw siebie z podniesionemi miotłami, w dosyć komicznéj postawie.

Kilka sług przypatrujących się tej scenie rozśmiało się głośno, a jedna rzekła:

— Nie macie się panny czego śmiać. Stanisław ma racją, co broni swego urodzenia, panny tego nie znacie, ale ja znam dobrze i wiem jak to boli kiedy kto niem poniewiera.

— A cóż to panna myśli, że my idziemy z jakiego tam prostego narodu. O! wcale nie. Mój ojciec w Opatowcu jest sobie obywatelem i ma dom i grunta. — A mój — dodała druga — jest stelmachem.

— A mój był ekonomem u hrabiego Z. Panna może sama z chłopów pochodzi, to myślisz że każdy wychodzi z prostactwa. Jeżeli tak, to się panna wielce mylisz — przepraszam pannę, ale saméj wywyższać się nie wypada.

— Widać że panna dodała druga — w boru musiała się chować z przeproszeniem między wilkami, kiedy nie może poznać kto nie z prostego wychodzi stanu.

— Muszę chołotę Warszawską pogodzić — odezwał się młody jakiś człowiek do dwóch swych towarzyszy wciągając rękawiczki — gotowe się poczubić. Bywajcie zdrowi.

— Co to za jeden? patrząc za odchodzącym zapytał jeden z pozostałych.

— To kupczyk z handlu.

— A zkądże taka poufałość? Nie lubię tego wpychania się w sferę, do któréj nie ma się prawa ani urodzeniem ani wykształceniem.

— O! to bardzo przyzwoity niepospolicie ukształcony człowiek.

— Zawsze kupczyk — przerwał drugi krzywiąc się z pogardą.

— Dziś już giną te przesądy średniowieczne.

— Tak, tak, wszystko ulega modzie, wiem to doskonale, ale mimo tego zawsze jakiś wstręt mam do łokcia, kwarty i gryzipiórstwa.

— Nie wiedziałem żeś taki arystokrata.

— To nie arystokracja, ale rozsądna duma a nawet zaszczytna i konieczna.

Wyrzekłszy to młody człowiek pożegnał się z towarzyszem i wskoczył do dorożki, a pozostały szepnął do siebie z szyderstwem:

— Duma! — i komu tu gadać o dumie, jak gdyby ludzie nie wiedzieli że ojciec jego spanoszył się na propinacjach. Mój ród to co innego, wszystko szlachta herbowa od dziada, pradziada; brat mojéj żony ożeniony z hrabianką, ale on? Na młodzieńca tego już wieczorem krzywiono się w pewnym salonie Warszawskim, do którego wepchnął się niemal gwałtem, pragnąc później pochwalić się zażyłością z pierwszemi rodzinami kraju. Tak więc od dołu do góry pycha na jeden ton nastrojona fałszywemi brzęczy głosami, wszędzie gdzie się obrócić, zarówno na bruku, w lepiance, w chacie, jak w pałacu.

O STROJACH

Korespondencja z Paryża.

Przy nadchodzącym nowym roku, w magazynach paryzkich rozpoczynają się wystawy rozmaitych towarów przeznaczonych na kolendę. Przebiegliśmy wielkie galerje magazynu *du Louvre*, aby mieć co donieść czytelniczkom naszego pisma. Z pomiędzy sukien strojnych zwracały uwagę naszą białe z tiulu jedwabnego, nalepiane w odstępach w wielkie muchy pluszowe w kolorach: pąsowym, solferino niebieskim i t..d. Suknie tarlatanowe białe w rzucik srebrny, ładnie też przy świetle wyglądają. Najwięcéj jednak strojnych sukien w tym roku będzie zupełnie gładkich białych, przystrojonych rulonami z białego lub kolorowego atłasu, podpinanych bukietami z przemarzniętych liści, pokrytych białym szronem.

Z pomiędzy jedwabnych wyrobów uważaliśmy piękne brokatele w różnych kolorach, przerabiane w drobny desenik złożony z kółek lub kwadracików, na tle czarnym lub ciemnym. Suknia taka ciężka i sztywna nie potrzebuje żadnego garnirunku.

Podobały nam się też bardzo lżejsze materje czarne w rzucane bukieciki z różnokolorowéj trawki lub z suchych listków.

Materje w pasy utrzymują się jeszcze w modzie. Widzieliśmy bardzo piękną czarną w pasy na dwa palce, atłasowe i gros grains. Pomiędzy każdym pasem szły prążki wypukłe jak sznurek: w kolorach solferino niebieskim, fijołkowym albo zielonym. Takie suknie ubierają u dołu kilkoma rzędami rulonu atłasowego w kolorze odpowiednim do prążków.

Z wyrobów wełnianych zasługuje na wzmiankę ciężka tkanina zwana *velours de Suéde*, podobna do niestrzyżonego aksamitu, w kolorze gładkim, oliwkowym fijołkowym lub piusowym.

Inna tkanina zwana *Kameleon*, podobna do brokateli przerabiana jedwabiem w różnych kolorach, może służyć do strojniejszego nawet ubrania.

Ładna też jest popelina wełniana na tle czarnym lub ciemnym, przerabiana w podłużne paski jedwabne, solferino lub złotego koloru.

Na ranne szlafroczki używany bardzo wyrób wełniany w kolorach żywych: niebieskim, fijołkowym, karmazynowym z szerokim drukowanym szlakiem w tureckim guście. Do tego odpasowana jest odpowiednia pelerynka.

Suknie tego roku noszą dwojakie: jedne przeznaczone do strojniejszego ubrania powłóczyste — drugie zaś do wyjścia na ulicę, krótsze od spódniczki. Jak jedne tak drugie, krajane są w kliny. Przytaczamy tu szczegółowy opis kilku, które nam się widzieć zdarzyło.

Pierwsza suknia czarna jedwabna gładka *poult de soie* miała u dołu pięć rulonów czarnych atłasowych, grubych na palec; w niejakim odstępie nad tem, szło znowu, pięć innych odwróconych po bokach do góry i rysujących jakby tunikę. Stanik z baskiną w zęby, przybrany był trzema rulonami: epolety i mankiety stosownie były przybrane.

Druga suknia jasno szafirowa gładka, miała nad obrębem sześć rulonów czarnych atłasowych, odwróconych z obu stron okrągło do góry. Paletocik dęty gładki obszyty w około czterema rulonami, służył zamiast okrywki, na wizytowe ubranie. Był oprócz tego stanik gładki do gorsu z krótkiemi rękawkami, na który miał iść kanzucik czarny *Chantilly* do teatru albo na wieczór.

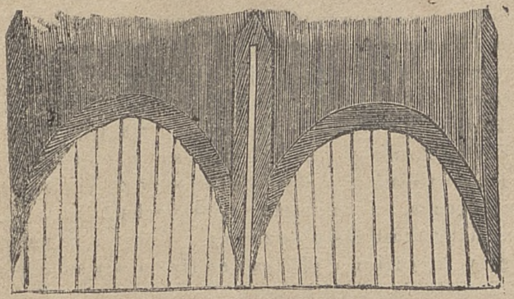
Trzecia suknia *poult de soie* koloru stalowego, miała nad obrębem Greckie zęby, wyszyte pliską z czarnéj materji. Na téj plisce naszyte były środkiem białe porcelanowe pacioreczki, jeden koło drugiego. Stanik pod szyją spinał się na szmuklerskie czarne guziki przerabiane białemi pacioreczkami.

Czwarta suknia mocno niebieska *bleu méxique* jedwabna, przystrojona była u dołu trzema rzędami wstawki gipiurowéj jedwabnéj białéj z czarnem. Wstawka ta naszyta była w wielkie zęby, podnoszące się z przodu coraz wyżéj. Stanik do gorsu miał bertę w zęby z odpowiedniem przybraniem.

Suknia czarna jedwabna miała nad obrębem, szlaczek wyszyty pacioreczkami z lawy, pod haftem naszyta była na sukni frendzelka z sieczki czarnéj. Szlaczek ten wraz z frendzelką, przerywany był w odstępach. W tem miejscu szły bukiety haftowane paciorkami. Stanik miał baskinę wyciętą w zęby, zakończone frendzlą, z odpowiedniem wyszyciem. Epolety i mankiety stosownie dopełniały całości. Pasek również wyszywany paciorkami, spinał się z przodu na rozetę.

Z pomiędzy sukien do wyjścia na ulicę, zwróciły uwagę naszą, pluszowe w ciemnych kolorach, popielatym, brązowym i piusowym. Krajane były w kliny bez żadnych fałdów. Dół wycięty w zęby szczególnego kształtu, objęty plisą atłasową na cal, z takimże sznureczkiem po obu stronach. Plisa cokolwiek była jaśniejsza od sukni, lecz w podobnym kolorze. Pod spód szła jedwabna spódniczka, z wolantem fałdowanym na jedną stronę. Paletocik do tego w formie *peplum*, z zębami z tyłu, po bokach i na przodzie.

Oto kształt zębów u dołu spódnicy.



Takież same suknie *z knikerbokeru* lub innych wyrobów wełnianych, kładą się na kaszmirowe kolorowe spódniczki.

S. D.

Opis deseni do haftu i do wyszywania paciorkami.

N. 1 Napierśnik dla małych dzieci w kształcie kaftanika bez rękawów.

Do zrobienia go użyć można cienkiéj białéj piki w drobne prążki, perkalu albo nanzuku. Deseń przenosi się na materjał za pomocą papieru, zwykle na ten cel używanego, i po wykrojeniu dostatecznéj wielkości, dziergają się na około gęsto, bawełną ząbeczki, które z brzega napierśnika tworzą łukowate festony, a powyżej małe łuki. Środkowy deseń haftować należy długim ściegiem, supełkami i haftem francuzkim. Po wyhaftowaniu deseniu, zeszyć ramiona razem od A do B; wykrój u szyi, lewą stronę pleców i pachy obszyć gipiurową koroneczką, a na ostatku porobić pętelki i poprzyszywać guziczki jak wzór wskazuje. N. 2 Narożnik i brzeg kołnierzyka haftowany atłaskiem na batyście. Środkowa część kołnierzyka odznaczona punkcikami, robi się z płótna albo cienkiéj piki, i do niéj przystebnowywa się batystowy brzeg haftowany.—N. 3 Narożnik do mankieta.—N. 4, 5, 6, 7 i 8 Szlaczki do ozdoby bielizny na haft atłaskowy i scieg przewlekany. — N. 9, 10, 11, 12 Wstawki do bielizny. N. 13 Deseń na krawatkę jedwabną do wyszycia kolorowym jedwabiem. — N. 14 Narożnik do muślinowéj krawatki. Liście haftować atłaskiem i stembenkiem, resztę deseniu oznaczyć gęstą okrętką.—N. 15 Narożnik na chustkę do nosa. Haft francuzki i stembenek.—N. 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23. Ośm gałązek do ozdoby krawatek, kołnierzyków i mankietów na haft atłaskowy i stembenek. — N. 24 i 25 Narożniki do chustek od nosa. N. 26, 27, 28, 29. 30 i 31 Litery do znaczenia bielizny. N. 32 i 33 Korony do znaczenia bielizny.—N. 34 Alfabet mały i liczby do znaczenia bielizny.—N. 35 Wstawka haftowana atłaskiem i stembenkiem. — N. 36 i 37 Deseń na szyfoni erkędo wyszycia sutaszem i jedwabiem; na suknie, aksamicie i t. p.—N. 38 Połowa kołnierzyka batystowego. Brzeg ażurowy złożony z plecionki *mignardise* i ściegu gipiurowego; powyżéj girlandka haftowana atłaskiem. Brzeg ażurowy można także zastąpić koronką kluni.—N. 39 Szlak do wyszycia czarnemi perełkami i sznurkiem jedwabnym do czarnéj sukni kaszmirowéj. W kółkach dają się większe perły.—N. 40 Deseń do wyszycia paletocika kaszmirowego perełkami. Deseń ciągnie się przez cały paletocik. — N. 41 i 42 Kaptur z białego kaszmiru garnirowany czarną koronką. (Forma na drugiéj stronie arkusza pod N. 21 22).— N. 43 i 44 Stanik „*peplum*“ (Forma pod N. 9. 10, 11 i 12). — N. 45 Suknia z szafirowéj albo popielatéj popeliny, ubrana aksamitką lub dubeltowo złożonym skosem jedwabnym. 3 centymetry szerokim, i guziczkami małemi z perłowéj konchy. Paletocik wolno puszczony odpowiednio przybrany.—N. 46 Gabrjela z popielatego albo brązowego wyrobu *lindsay* ubrana skośnemi patkami jedwabnemi tego samego koloru co suknia. Szarfy te czyli patki naszyte są w odstępach pasmanterją z grelotkami, stopniowanéj wielkości, i objęte w około sznurkiem jedwabnym. Guziki pokryte materją, jak patki, dół sukni objęty pliską jedwabną. Do jedwabnéj czarnéj sukni przybranie może być z czarnego aksamitu. Pasek zwykle się robi z materjału sukni, ozdobiony na spięciu rozetą z fałdowanej materji jedwabnéj.

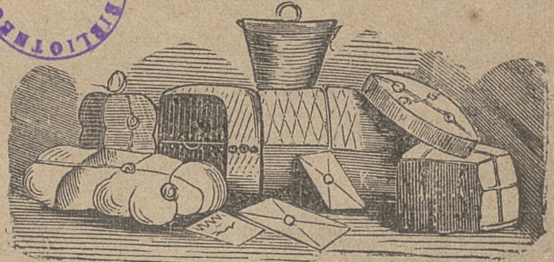
Opis formy sukienki dla chłopczyka od 2 do 3-ch lat, stanika peplum, stanika z baskiną, kaptura kaszmirowego, kołnierzyka męzkiego i mankieta ze skóry kozłowéj.

N. 1 Przednia część sukienki dla chłopczyka od 2 do 4-ch lat.—N. 2 Połowa pleców. -N. 3 Połowa kołnierza.—N. 4 Wierzchnia połowa rękawa.—N. 5 Dolna połowa rękawa. N. 6 Mankiet.—N. 7 i 8 Całość sukienki dla chłopczyka od 2 do 4-ch lat. Podług numeru 1, 4, 5 i 6, przykroić z popeliny fijołkowéj w czarne paseczki i z popielatéj dymy na podszewkę po dwie części, z dodaniem w przednich częściach po 3 centymetry na obrąb. Podług numeru 2 plecy w całości jak również kołnierz i mankiety, które się robią z fijołkowego *cotton silk*, i podszywają czarnym fularem. W przodach zrobić zaszewki od krzyżyków do gwiazdki, wszystkie części stanika pozeszywać jak litery jednakowe wskazują, zostawiając jedną część podszewki na podwrębienie i zaopatrzyć w dziurki i guziki do zapinania. Spódniczka 44 centymetry szeroka i 102 centymetry długa, ścina się u góry dla nadania kształtu kliniastego, dodaje na każdym z szyciu wypustkę z pluszu czyli *cotton silk* fijołkowego, podszywa się muślinem i przyfałdowywa w kontrafałdy do paska 2 centymetry szerokiego, przy którym umieszczone są w odstępach fałdowane falbaneczki, naśladujące karoczek. Po przyszyciu stanika do spódnicy objąć ją u dołu rulonem z pluszu i odznaczyć na spódniczce patk z dodaniem guzików lawowych. Rękawy zeszyte od lite

ry H do W i Z do X zdobią się mankietem pluszowym i wszywają do pachy, składając literę Z do litery Z znajdującéj się na przodach stanika. Pasek 4 i pół centymetra szeroki z materjału sukni, objęty z obydwóch stron rulonem pluszowym i zakończony z boku rozetą z takimże objęciem, uzupełnia to ładne ubranie.

N. 9 Przednia część stanika *peplum*.—N. 10 Bok. N. 11 Połowa pleców. — N. 12 Rękaw. (Całość na drugiéj stronie arkusza oznaczona N. 43 i 44.

Suknia z wełnianego fularu szafirowego w czarny marmurek krajana jest w kliny; stanik przyozdobiony jedwabnemi pliskami 2 centymetry szerokiemi i perełkami czarnemi. Pliski skośne mogą też być z materjału sukni objęte jedwabną wypustką i naszyte perełkami. Podług numeru 9 i 10 przykroić po dwie części z wierzchu i z podszewki, podług numeru 11 plecy w całości, podług numeru 12. rękawy każdy z dwóch części złożony, uważając na wykrój dolnéj połowy. W przodach porobić zaszewki, podszyć obje części pasem 4 centymetry szerokim z materjału sukni i zaopatrzyć w dziurki i guziki lawowe do zapinania. Stanik cały który się zeszywa podług liter jednozgodnych, zrobić na szyrtyngu albo płótnie, podszywając tylko baskinę *peplum* czarnym fularem i szarfy spadające od tyłu szyi 79 centymetrów długie, a 3 centymetry szerokie, również naszyte perełkami i zakończone kwastami jedwabnemi. Jak rękawy i stanik zeszyć należy na litery dokładnie wskazują.—N. 13 Przednia część stanika z baskiną.—N. 14 Bok.—N. 15 Połowa pleców. — N. 16 Połowa kołnierzyka. — N. 17 Rękaw. Do codziennego ubrania zaczynają znów bardzo nosić staniki z baskinami i paskami dla odznaczenia zgrabnéj figury. Dajemy dziś krój takiego stanika z baskiną razem krajaną, który również jako główny krój do wszystkich innych staników służyć może. Do stanika bez baskiny trzeba zaprowadzić małą zmianę w przodach, to jest: że do stanika z baskiną daje się jedna zaszewka z przodu, a do gładkiego stanika ta jedna dzieli się na dwie zaszewki. Dla wprawnéj ręki w kroju, nie zrobi to żadnéj trudności. Z obranego gładkiego wyrobu wełnianego i podszewki, przykroić stanik i rękawy a następnie zeszyć wiadomym sposobem podług liter jednozgodnych i ozdobić pasmanterją z grelotkami baskinę, kołnierz, epolety i mankiety. Musiemy jeszcze dodać że kołnierzyk zrobiony z tego samego materjału jest z tyłu w ząb krajany, można go jednak tylko odznaczyć pasmanterją lub zupełnie opuścić i zastąpić białym. Pasek z materjału sukni urządzić można do zapinania na klamrę albo na haftki z rozetą fałdowaną na boku. N. 18 Połowa kołnierzyka męzkiego. — N. 19 Połowa paska. Tak kołnierzyk jak i pasek krajane są z dubeltowego płótna z dodaniem skośnéj listewki, która się na wierzchu kołnierza przystebnowywa. Jeżeli kołnierzyki służyć mają do przypinania w takim razie zrobić należy w pasku dziurki, a do koszuli przyszywają się guziki. N. 20 Połowa mankieta ze skóry kozłowéj. Ozdobny mankiet zrobiony z cienkiéj kozłowéj skóry, tego koloru co rękawiczka, służy jako dopełnienie téj ostatniéj. Może także być zrobiony i z materji, ale w takim razie trzeba czemś sztywném podszyć. Mankiet przykroić w całości, składając materjał dubeltowo wzdłuż środkowéj linji, brzegi w koło obszyć wązką skośną listewką skórzanną, aby wyglądał jak sznureczkiem obszyty. Na wierzchu w środku mankieta jako garnirunek przyszyć 6 guziczków, jak dokładnie rysunek wskazuje, połączyć je między sobą krzyżującym się sutaszem, na końcach którego przyszyte są kwaściki z karbowanego jedwabiu. Mankiet zapina się na guziczki albo haftki.—N. 21 Połowa kaptura,—N. 22 Połowa karczka. Całość kaptura oznaczona numerem 41 i 42 na drugiéj stronie arkusza. Podług numeru 21 przykroić kaptur w całości, składając do środkowej linji materjał *skośno*, a podług numeru 22 karczek *prosto* wzdłuż linji środkowéj. Na zrobienie kaptura użyć można materji jedwabnéj albo kaszmiru w rozmaitych kolorach; wzór nasz przedstawia biały kaszmirowy, przybrany ruszą koronkową i gwiazdkami koronkowemi na jedwabnéj watowanéj podszewce. Po zrobieniu zaszewki w karczku, złączyć go z główką zmarszczoną odpowiednio długą i objąć z lewéj strony listewką, w którą się nawleka wstążeczka do przyciągania kaptura. Koronkowe garnirowanie zastąpić można ruszą fałdowaną z kaszmiru złożonego, zdługiego pasa 5 centymetrów szerokiego, wybijanego z obydwóch stron w ząbki albo puszkiem łabędzim. Garnirowanie na wierzchu kaptura naśladuje, jakby chustecz-kę zarzuconą. Kokarda ze wstążki między karczkiem a główką i szarfy do wiązania pod brodą uzupełniają całość kaptura.



Panu Ju. Wołod. Ekspedycja pocztowa nie przyjmuje żadnych sprawunków do koperty w któréj się pisma perjodyczne posyłają.—Pani Józefinie Mo. Kolenda w roku przyszłym zupełnie nie wyjdzie z druku. Pani J Czar. Tuzin gotowych przodów do koszul męzkich z cienkiéj weby kosztuje rs. 12. — Żądany Numer Tygodnika powtórnie wysłano.—Pani Rakow. Cena kolczyków i broszki z kwiatów rs. 3—naszyjnika rs. 3.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

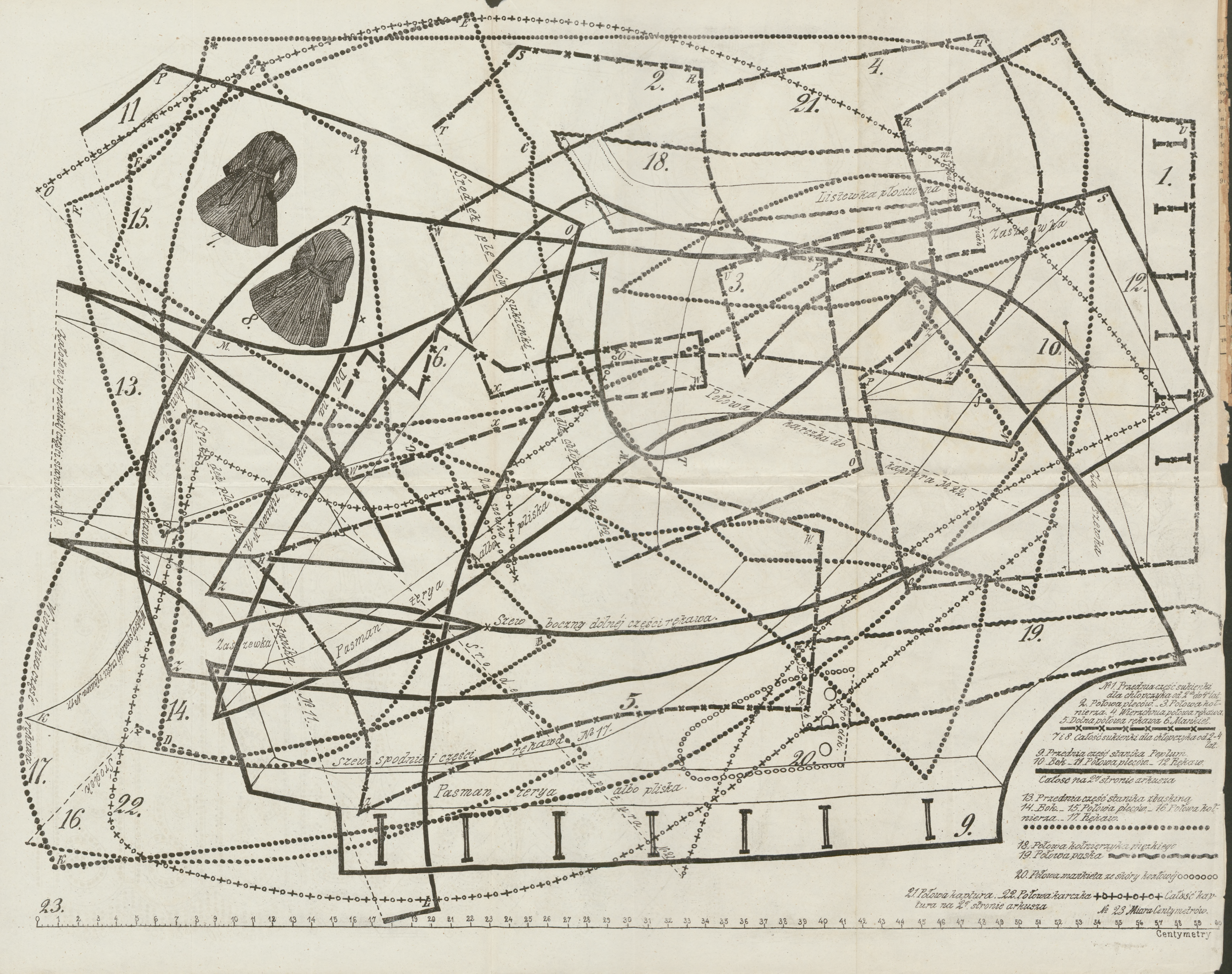
Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu i do wyszywania perełkami oraz forma: sukienki dla chłopczyka od 2 do 4 lat, stanika „Peplum" — stanika z baskiną, kaptura kaszmirowego, kołnierzyka męzkiego i mankieta ze skóry kozłowéj.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



№ 1. Napierśnik dla dziecka na haft atłaskowy i stembenek.
2. Narożnik do kołnierzyka.
3. Narożnik do mankieta.
4. 5. 6. 7. 8. Szlaczki do ozdoby bielizny.
9. 10. 11. 12. Wstawki do bielizny.
13. Deseń na krawatkę jedwabną.
14. Narożnik do krawatki.
15. Narożnik na chustkę do nosa.
16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. Małe gałązki do kołnierzyków, mankietów, krawatek i t. p.
24, 25. Narożniki na chustki do nosa.
26. 27. 28. 29. 30. 31. Litery do znaczenia bielizny.
32. 33. Korony.
34. Litery i liczby do znaczenia bielizny.
35. Wstawka haftowana.
36 i 37. Deseń na szyfonierkę.
38. Połowa kołnierzyka.
39. Szlak do sukni kaszmirowej nad obrębem.
40. Deseń do wyszycia paletocika wolno puszczonego.
41. 42. Całość kaptura watowanego. (Forma na drugiej stronie arkusza № 21 i 22.
43. 44. Całość stanika Peplum" (Forma na drugiej stronie arkusza od № 9 do 12.
45. Suknia szafirowa ubrana aksamitką i guziczkami z konchy perłowej.
46. Gabriela popielata z czarnem ubraniem.



№ 1. Przednia część sukienki dla chłopczyka od 2^{ch} do 4^{ch} lat.
2. Połowa pleców. _ 3. Połowa kołnierza. 4. Wierzchnia połowa rękawa. 5. Dolna połowa rękawa. 6. Mankiet.
7 i 8. Całość sukienki dla chłopczyka od 2-4 lat.
9. Przednia część stanika Peplum. 10. Bok. _ 11. Połowa pleców. _ 12. Rękaw.
Całość na 2^{ej} stronie arkusza
13. Przednia część stanika z baskiną 14. Bok. _ 15. Połowa pleców. _ 16. Połowa kołnierza. _ 17. Rękaw.
18. Połowa kołnierzyka męzkiego 19. Połowa paska
20. Połowa mankieta ze skóry kozłowej
21. Połowa kaptura. _ 22. Połowa karczka Całość kaptura na 2^{ej} stronie arkusza
№ 23. Miara Centymetrów.
Centymetry
Szew boczny dolnéj części rękawa.
Szew spodniéj części rękawa № 17.
Pasman terya albo pliska
Listewka plecowa
Zaszewka
Połowa karczka do kaptura № 22.

Dodatek do Nr. 52 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 17 (29) Grudnia 1866 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Julja weszła i nieco pomięszana ujrzała się w obec pana Władysława Tumińskiego, który z radością głęboki oddał jéj pokłon. Już to raz drugi spotkała go tutaj.

Pani Żreńska uścisnęła ją serdecznie i prosiła siedzieć.

— Kochana pani po mnie przychodzisz, wymówiła — ale zatrzymajmy się trochę. Pan Tumiński także niezadługo odjedzie.

— Jestem szczęśliwy, że panią jeszcze pożegnać mogę — dodał gość młody.

— Więc panie już napewno jutro jedziecie? — zapytała wdowa.

— Na pewne.

— Smutno nam będzie i tęschno.

— Czy też paniom nie żal pięknego Jodłowca? — ozwał się pan Tumiński.

— Bardzo! I będę pewno tęskniła.... Będziemy tęschniły — poprawiła się Julja.

— Lecz ciągle nowe przedmioty, inne okolice, a piękne, wiele dadzą rozrywki.

— I będziemy razem — głos Julii był niepewny, gdy te wymówiła wyrazy, lecz obecni nie zważali na to.

— Mnie to najwięcéj będzie tęskno — wymówiła znowu pani Żreńska.

— Zostajesz się pani w swoich kącikach, będziesz się patrzyła na wszystko znane oddawna: na te same twarze, domy, drzewa, niebo, a to tak miło! — odrzekła Julja.

— Lecz pań moich kochanych nie będę widziała! I smutno będzie spojrzeć na wieżę pałacu z mojego okienka.

— Pan Tumiński powinien odwiedzać panią częściéj.

— Uczynię to z chęcią najmilszą! — zawołał pan Władysław — praca w gospodarce daje teraz już więcéj czasu wolnego, zwłaszcza też wieczorami.

— Szczęście dla mnie, że pan masz tutaj Proboszcza, przy nim to i mnie się dostanie — uśmiechnęła się wdowa.

— Gdyby i tego nie było!... Wszakżeż nas wkrótce węzeł powinowactwa połączy. I tyle mam szacunku dla osoby pani.

— Trzymam pana za słowo, w obec panny Julji.

— Licz pani na mnie! — Ależ ja panie zatrzymuję, przepraszam! — i powstał, biorąc czapkę w rękę.

— Tak, tak, pojdziemy, bo tam panie czekają.

Pani Żreńska odziała się płaszczykiem. Julja znowu chusteczkę zawiązała pod twarzą — a ślicznie jéj tak było.

Wyszli troje pospołu.

— Panie pozwolą, to odprowadzę pod pałac — wymówił pan Władysław.

— Owszem, chodź pan! — odrzekła wdowa.

Władysław spojrzał się na Julję — nic nie mówiła. Jasny promień księżyca padał właśnie na jéj oblicze i uroku miłej dodawał twarzyczce.

— Śliczny wieczór! — przerwała wdowa milczenie — a jak ładnie jeszcze w ogrodzie,

— Jutro pusto tu będzie! — ozwał się pan Władysław.

— Pusto i smutno.

— A my będziemy gdzie tam pod Warszawą — i Julja ciche stłumiła westchnienie.

— Wiosna w Jodłowcu na przyszłe lato dwoiście pożądaną będzie — wymówił znowu młody sąsiad.

— O, dałby ją Pan Bóg co rychléj!

I Julja w głębi duszy za panią Żreńską to powtórzyła życzenie. Tak bardzo niechętnie opuszczała Jodlowiec.

W milczeniu szli daléj — bo niby każdemu zaciężyło na sercu.

— Pani pewnie jeszcze do Proboszcza wstąpisz? ozwała się wreszcie pani Żreńska.

— Obiecałam się.

— Był dziś u nas na obiedzie z matką. Pozdrów ich pan i pożegnaj raz jeszcze odemnie — zwróciła się Julja ku niemu.

Oczy jéj połysknęły w księżycowym świetle, a po licu pana Władysława niby jakiś rzewny przemknął wyraz.

— Spełnię ten rozkaz pani.... A może pani jeszcze jakie da polecenie?

— Nie, panie.... nic nie mam...,

— Takby mnie to cieszyło!

Stanęli przy tarasie, na który z okien pałacu jasny padał odbłysk.

— Teraz panie pożegnam — wyrzekł Władysław.

— Dobranoc! A zajrzyj pan do mnie wkrótce.

— Będę pani.... Pomyślności wszelkiej i szczęśliwéj podróży! — wymówił jakoś większym głosem i pokłonił się przed Julją.

— Dziękuję szczerze — poszepnęła panna.

— Mamie pani i pannie Swiętoborskiéj wysokie poważanie i najlepsze życzenia. Żegnam panie! — pokłonił się raz jeszcze i odszedł szybko.

Julję chwilowo tęschne przeszyło uczucie.

— Poczciwe chłopczysko! — wymówiła wdowa.

W milczeniu weszły do pałacu.

W perskim pokoju już do herbaty przysposobiono przybory.

Młoda pani domu wesoło powitała wchodzące i chętnie pożegnalne wyrazy pana Władysława przyjęła.

Janina usiłowała małe gronko ożywić. Pani Siewońska jednakże pozostała smutną, a Julja raz po raz w zadumkę wpadała. Liczyła w myśli, jakoś mimowolnie, że to już raz szósty dzisiaj pana Władysława spotykała: u Proboszcza trzy razy — raz przed kościołem z rana — i dwa razy u pani Żreńskiéj. Panienki czasem takie utrzymują kalendarzyki.

Panie rozeszły się dość wcześnie, ze względu na podróż jutrzejszą. Poczciwa wdowa zapłakała przy pożegnaniu i trzy panie podróżne popłakały się także.

V.

. . . . Na ciężkie drogi
Prowadzi jeden krok fałszywy.

J. Korzeniowski.

Dnia 27 Października stanęła Janina z towarzyszkami swojemi w Warszawie — i zamieszkały w hotelu Krakowskim. Pogoda im sprzyjała, i przez trzy dni chodziły po mieście i różne robiły wycieczki.

W dzień wszystkich Swiętych, pojechała z panią Siewońską do pani Radzyńskiéj, mieszkającéj na Nowym Swiecie.

Weszły na pierwsze piętro, i gdy wymówiły nazwiska swoje, wprowadził je lokaj do obszernego ładnego salonu. Pani domu nadeszła niebawem: była to osoba nader miłéj powierzchowności, lat średnich, a powitała je uprzejmym uśmiechem i z wyrazem serdecznym, aż sobie od razu ich przychylność zjednała.

— Pragnęłam przybycia pani — wymówiła do Janiny, gdy już usiadły — tęschniłyśmy już za panią, naprawdę. Żal mi tylko, że dobrą mamę ukochanéj córki pozbawiam — dodała, zwracając się ku pani Siewońskiéj. Ale tak to bywa, niestety: co jednemu daje przyjemność, żal sprawia drugiemu. To też mam nadzieję, że łaskawa pani w Zajezierzu odwiedzić nas zechcesz, i że czas dłuższy zabawisz. O co proszę szczerze!

— Byłoby to najwyższą przyjemnością dla mnie, i pożądaną po nad wszystko — odrzekła pani Siewońska, z odbrzmieniem wewnętrznego rozczulenia— ale wyjeżdżam na całą zimę do Meranu z córeczką mego brata — ostatnie wyrazy z trudnością z ust jéj wyszły.

— Czy tak? O, to co innego! Czy chora ta panienka.

— Cierpi na piersi.

— Boże mój! Życzę państwu z całego serca skutków najlepszych i by zupełnie zdrowa wróciła. To pani będziesz tem więcéj za mamą tęschniła! — zwróciła się pani Radzyńska znowu do Janiny.

— Zapewne, pani. Rozłączałyśmy się tak niewiele jeszcze — odrzekła młoda dziewczyna.

— Będziemy się starali pannę Julję pocieszać i rozerwać, utulić — ujęła mniemaną Julję w objęcia i pocałowała ją w czoło.

— Nazywaliśmy ją Janina, jakkolwiek, jéj imię Julja — wtrąciła pani Siewońska, pomięszana widocznie.

— Janina? śliczne imię!—Lecz dla czegoż to?

— Wujowi mojemu imię Jan — odrzekła Janina, przychodząc w pomoc udręczonéj opiekunce swojéj — i tak nawykli mi mówić wszyscy:

— Rzadkie imię, a takie ładne! — dodała jeszcze pani Radzyńska — i my tak panią nazywać będziemy, ażeby ci nie sprawiać różnicy niemiłéj, i ażebyś tem rychléj do nas nawykła. Po nowym roku wracamy na wieś. Wydaje się to dziwnem niektórym osobom — uśmiechnęła się — że gdy inni do Warszawy zjeżdżają, by tutaj zimę przebyć, my z niéj uciekamy. Lecz mąż mój nie chce, pod żadnym warunkiem, na co i ja zgadzam się bardzo: by dziewczęta nasze poznały tak zaraz, wielkie życie stolicy, świat salonów, bale i wystawność. Niechaj raczéj zasmakują wprzód w naszych wiejskich przyjemnościach i rozrywkach, i wiejskie polubią zebrania. A te nie zajmowałyby ich pewnie, poznawszy wielkoświatowe. Póżniéj za rok, lub za dwa, spędzimy może jeden karnawał w pięknéj Warszawie, ale teraz na początek, nigdy! — Czy pani lubisz wieś? — zapytała Janiny.

— Więcéj aniżeli miasto.

— To wielce cieszę się z tego! — bom się lękała, ażebyś pani w naszem Zajezierzu nie załowała Warszawy.

— Nie, pani, nigdy!

— Mam nadzieję że nam z sobą będzie dobrze..,.. Ale dziewczęta moje będą żal miały do mnie, żem ich jeszcze nie kazała przywołać — i zadzwoniła.

Ukazała się panna służąca z drugiego pokoju.

— Moja Obrębska, niechaj panny przychodzą zaraz.

W chwili potem posłyszano chód lekki a przyspieszony—wesoły szczebiot—śmieszki—i wbiegły dwie młode panienki, liczące lat szesnaście jedna, a siedmnaście druga.

— Moje córki: Franciszka i Adela, przedstawiła je matka. A wiecież kto są te panie? — zapytała ich z uśmiechem. Czyliż odgadujecie?

Dziewczęta spojrzały:

— Ah, to panna Siewońska!— zawołała młodsza radośnie, uśmiechnięta i z rumieńcem na licu.

— Tak, tak, zapewne!— dodała starsza nieco poważniéj, i zbliżyła się do Janiny.

— Odgadłyście!— wyrzekła matka.

Panny pocałowały w ramię panią Siewońską, a uścisnęły szczerze i serdecznie mniemaną Julję.

Franciszka była wyższa, szczupła, kształtna, miała włosy i oczy ciemne, rysy dość regularne, płeć bladawą — a cały wyraz jawił dobroć i łagodność. Adela więcéj blondynka, bielsza i świeża, z ciągłym niemal uśmiechem na ustach, — była istnym typem swobodnéj i wesołéj dzieweczki. Obiedwie miłe czyniły wrażenie.

Janina z panią Siewońską rzuciły sobie porozumiawcze spojrzenie — i obiedwie były zadowolone.

Pani Radzyńska pokazała im następnie ładny pokój, przeznaczony dla panny Siewońskiéj, obok pokoju panienek, który był przy jéj sypialni. Z obowiązująca względność pani domu pomyślała o wszystkiem; — i była tam troskliwość panienek widoczną także: na ładnych półeczkach leżał wybór nowych książek, a w koszykowym stoliku przy oknie, stały wazoniki z kwitnącemi kwiatami.

Następnie zaprezentowała się i garderobna Justysia nowéj pani swojéj.

Gdy później żegnały się pani Siewońska i mniemana jéj córka, zapraszała je pani Radzyńska na herbatę. Wymówiły się jednak. Bo i cóżby tam Julja sama poczęła? A pragnęły te chwile, które pozostały im jeszcze pospołu z sobą przepędzić.

Panienki uczepiły się Janiny, całowały ją, ściskały, i aż na wschody odprowadziły.

— Moja dobra, kochana mateczko! — zawołała Janina, gdy w hotelu Krakowskim, w pokojach swoich stanęły — wszakżesz mi dobrze będzie w tém miłem gronku!

— Ach Boże! Mój Boże! — pani Siewońska złożyła dłonie. Jeszcze czas, dziecko! Zaniechaj tego wybryku, jedyna moja, droga, kochana! — Jest mi tak zupełnie, jak gdybyśmy nad przepaścią stały, Janino, przez litość!

— Cofnąć się teraz, byłoby tchórzliwą niedorzecznością, czyli niedorzecznem tchórzostwem. Dopięłam tego, czegom tak usilnie pragnęła, i nie cofnęłabym się za nic w świecie!

— Niekiedy czynię sobie gorzkie wyrzuty, żem ci uległa, a nie przeszkodziła temu dziwactwu.... temu szałowi! I czyliż nie powinnam była ostrzedz państwa Gromontowskich.

— Kochana moja mateczko! To byłabym sobie poradziła inaczéj, powtarzam już raz dziesiąty, dwudziesty. Niczby mnie nie było powstrzymało. Gwałtu bym nie zniosła!— i pokraśniała nagle, a oczy niby iskierki sypnęły.

— Tak, ale perswazye, przedstawienia... Wreszcie powaga wuja i opiekuna.

— To byłabym co innego zrobiła. Stało się!— i ucałowała panią Siewońską, która ocierała łzy z oczów.

— Juleczko!—zawołała, obejmując przyjaciołkę— pani Radzyńska jest dziwnie przyjemną kobietą, a Frania i Adzia nader miłe i wdzięczne panienki: z oczów wszystkich trzech patrzy, że są wielkiéj poczciwości istoty!

— Ale.... jednak milejby nam pospołu w Jodłowcu było!— wymówiła Julja łagodnie, z rzewnym oddźwiękiem.

— Toćże będziemy znowu! A ja będę spokojną i zadowoloną, spełniwszy com zamierzyła. Stało się! Matka i córka westchnęły.

Nazajutrz odwiedziła je pani Radzyńska z córkami. Julja w drugim ukryła się pokoju.

Zaproszone na objad, wymówiły się licznem jeszcze zajęciem, a pani Siewońska dodała: że za powrotem z Meranu, wynagrodzi sobie to wszystko, czego dzisiaj wyrzec się musi odwiedzając Zajezierze. Rumieniła się jednak przy tem powiedzeniu, a pot gęstemi kroplami na jéj czoło wystąpił.

— Jak to się skończy? Co to będzie?— zawołała znowu, gdy wyszły, załamując ręce.

— Dobrze będzie — odrzekła Janina—i nie mówmy już o tem.

Zawojowana dawniejsza nauczycielka, wyszła do drugiego pokoju i zapłakała.

Janina tymczasem swoje składała książki — a skupiła właśnie w księgarniach warszawskich, co ją tam tylko nęciło.

Nazajutrz rozpłakała się serdecznie, żegnając Julją, lecz łzy otarła, zbiegła szybko po wschodach, wsiadła do dorożki, i już ani ku oknom spojrzała, znać nie chciała rozżalać się na nowo.

Pani Siewońska ją odwiozła — a było to już późno wieczorem, bo nazajutrz rychło, wyjeżdżały koleją żelazną.

U pani Radzyńskiéj nikogo z obcych nie było.

Nastąpiło pożegnanie. Pani Siewońska jeszcze tam coś Janinie szepnęła.

Wreszcie uśmiechnęły się ostatecznie.

Janina do swojego pobiegła pokoju — rzuciła się na krzesło i rzewliwie płakała. Panienki po chwili wsunęły się za nią — i płakać pomogły.

Temu rozżaleniu wreszcie pani Radzyńska koniec położyła.

— Wypłakać się jest potrzebą konieczną, mówiła; obejmując Janinę — ale dosyć już teraz, moja droga Janeczko! Będziemy ciebie kochały, i pokochasz nas pewnie. Uspokój się! Za miesięcy kilka mateczka powróci. I wy dziewczęta poprzestańcie płakać, a raczéj rozerwijmy pannę Siewońską.

Usiadła i poczęła o czemś innem mówić — opowiadać. Zawiązała się pogadanka. Gawędziły i panienki — i wreszcie uspokoiła się Janina.

Wyznała jednak później, że gdy tamte na spoczynek się udały, i pozostała sama, w cierpki nader sposób poczęła nad swojem położeniem rozmyślać. I była chwila, gdzie już, już chciała rolę swoją porzucić.. Lecz jakiś wstyd fałszywy i pragnienie doświadczeń, przykuły ją na miejscu.

Powiedziała sobie: samochcąc, przez kaprys może, zgotowałam sobie żal, rozłączenie z najdroższemi istotami, tęsknotę, a bodaj nie.... i trudną do przebycia drogę!!.. Może i popełniam szał.... który mnie wiele kosztować będzie — i już kosztuje!... Musiało być coś zwichniętego w mojem wychowaniu, że się tak samowolnie, przez gwałt nawet, na jakieś puszczam bezdroża.... bo któraż inna by to uczyniła?

Czyliż tak wychowują dziedziczki? Za mało samoistną tamowano wolę!... A dozwolili zbyt bujnéj wyobraźni rozwinąć się bez miary!... Naczytałam się szkodliwych niedorzeczności do woli, które mi zbałamuciły fantazyą — a nie bronili niczego!— i w ten sposób, biedna, w rozbudzonéj myśli, późno w noc biadała.

Nazajutrz była spokojną — lecz żal wielki tłumiła w sobie, i co chwila doświadczała przykrości swo-

jego położenia kłamanego: ona, która dotąd uosobioną zawsze była prawdą. Rozważając naprzód wszystko, nie wyobrażała sobie jak wielkim trudem, dla istoty szlachetnéj, jest kłamstwo — a kłamstwo ciągłe. Ileż to razy rumieniła się — a nawet łzami zachodziły jéj oczy, lecz wszakżeż sama w tak przykre rzuciła się trudności.

Pierwszą osobą którą poznała w domu pani Radzyńskiéj, był profesor Bylewicz, który ciągle jeszcze dnia każdego, wykładał panienkom historyę powszechną i literaturę, a potem zwykle pozostawał na herbacie. Często także przychodziła panna *Dubois* niemłoda Francuzka, ich dawniejsza guwernantka, i wtedy rozmowa tylko w tym toczyła się języku.

Profesor Bylewicz był także kawalerem jeszcze, czterdziesto-kilko-letnim; wzrostu średniego, szczupły, chudy, rysów zwyczajnych, przy nieco długim nosie, oczów szarych, dużych, mownych, cery bladawéj, z bokobrodami, wydzielonemi mu nieco za skąpo, zakrywający dość dużą łysinę bardzo niedostatecznie, zaczesanemi od tyłu głowy włosami. A jak wyrażał się ktoś żartobliwie: że pożyczał z depozytu. Zawsze starannie ubrany i świeżo, nie stosował się jednak do mody, uczony rzeczywiście, bez pedanterji, przyjemnym był w towarzystwie, i do każdéj przystawał gawędki. Państwo Radzyńscy go cenili i polubili, bo charakter jego był zacny a serce poczciwe.

Pierwszego zaraz wieczoru, gdy małe przy herbacie zebrało się gronko, profesor wdał się w dłuższą z panną Siewońską rozmowę. A potem, po dniach kilku wyrzekł do pani domu: że lepszéj akwizycji zrobić nie mogła.

— Umysł to wykształcony i rozwinięty — wyrzekł — zdanie wcale nie powierzchowne tylko, a zacne i widać, że myśli i myśleć umie. Przytém zaleca ją i pewna powaga obok swobody i żywości wrodzonéj a młodéj. A jakie maniery dobre i miłe, świadczące o najlepszem wychowaniu!

— To też jestem zadowolona nadzwyczaj — odpowiedziała pani domu — widać że w dobrem zawsze przebywała towarzystwie. A przytem jest sobie tak poczciwem i kochanem stworzeniem, bez wszelkich pretensyj, naturalna i dobra, żem ją i pokochała odrazu. Dziewczęta moje przylgnęły do niéj całem sercem i duszą. Cieszę się z tego, i jestem przekonana, że dobrym dla nich będzie wzorem.

Podobny sąd, jak profesor, wydała o Janinie i panna Dubois — obeznana z wielko-światowemi formami. Chwaliła jéj akcent francuzki — *et ses manières charmantes et aristocratiques.*

W salonie, panny zwykle z robótkami siadywały przy jednym stoliku, a na drugim zastawiano herbatę. Tam zasiadała pani Radzyńska z gośćmi. Profesor jednak zawsze przy panieńskim miejsce zajmował, dla rozmowy z panną Siewońską. Uśmiechała się na to z zadowoleniem pani Radzyńska. Niekiedy przysiadła się także. Pogadanka toczyła się raźno, bo nie zbywało Bylewiczowi na wymowie, a często przechodziła i na pole kwestyj historycznych i literatury. Szczególniéj lubił profesor badać Janinę pod względem zdań jéj co do stosunków społecznych. A pani Radzyńska, czyli też siedząc obok, czyli też chodząc po salonie, przysłuchiwała się tym rozprawom z zajęciem wielkiem. Już to cieszyła się Janiną; że w tak dobrem przedstawiła się świetle: już też, że Frania i Adzia wielkie ztąd odnosiły korzyści. Poczciwa ta kobieta i matka, pragnęła dla córek swoich wszelkich zalet i przymiotów, lecz zarazem i niczego nie zazdrościła Janinie, w czem właśnie wielkie dobro dla jéj wypływało dziewcząt. Bo i panienki uczucia zazdrości nie znały, i były swobodne i życzliwe, co im szczególniéj przychylność zjednywało wszystkich.

Profesor aż niby młodniał — odkąd poznał pannę Siewońską: korzystał coraz troskliwiéj z pożyczki depozytowéj; używał ciemniejszego fiksatoarù i sprawił sobie modry, granatowy surdut. Zaproszony zaś w niedzielę na objad, w zgrabnych okazał się lakierkach, co zwłaszcza Adzię ucieszyło niezmiernie.

Raz w tydzień zwykle bywała pani Radzyńska z pannami w teatrze, wybierając zawsze sztuki najlepsze — a było to już oddawna zaprowadzonym zwyczajem. Profesor, jako *cavaliere serviente* towarzyszył im niemal zwykle.

Na wieczorach pani Radzyńska nie bywała nigdzie: bo z zasady nie chciała córek na nie wprowadzać, ani ich też bez opieki swojéj w domu zostawiać. U niéj jednak często po kilka bywało osób, i bawiono się muzyką, rozmową, a niekiedy i jaką grą towarzyską.

W tym czasie odebrała Janina listy od pani Siewońskiéj i Julji: donosiły o szczęśliwie odbytéj podróży, a pięknéj zarazem — i o urządzeniu się wygodném w ładném, nieco na ustroniu mieszkaniu. Nie wiedziały dotąd o żadnéj polskiéj rodzinie w Meranie.

Wreszcie zawierały te listy opisy miejscowości i różne pod tym względem spostrzeżenia.

Janina napisała do nich pomiędzy innemi:

Tęschnię za wami, ale dni mi schodzą przyjemnie bardzo. Dnia każdego, gdy sprzyja pogoda, odbywamy przechadzki różne. Wieczory spędzamy mile. Często jest osób kilka, lecz mnie bardzo wystarcza i nasze kółko domowe.

Frania i Adzia są wyborne dziewczątka: wesołe, naturalne, pełne prostoty, a przedewszystkiem dobre.

Stosunek domowo-rodzinny nie może być lepszym. Pani Radzyńska wzorową jest matką, i wzorową panią domu.

Do kościoła chodziemy tylko z panią Radzyńską. Ja oczywiście, zawsze z gęstą na twarzy wychodzę zasłoną — niby to dla oczów.... kłamstwo!

W teatrze siedzę zwykle z tyłu — i tak, że mnie nie widać. Pani Radzyńska mniema, że to czynię przez grzeczność — i wiele próśb użyłam, zanim postawiłam na swojem.

Służba jest na moje skinienie jak gdybym córką domu była. To też, naprawdę, jestem zupełnie uważana, jakoby starsza siostra Frani i Adzi.

Przeto, skoroć już taki wybryk zrobiłam, tom i szczęśliwiéj trafić nie mogła.

(d c n)